

ROZDZIAŁ 1

Ta głupia Lucynda wcale nie chciała rzucać na mnie klątwy. Chciała mnie obdarować. A natchnęły ją moje łzy. Przez pierwszą godzinę życia zanosila się płaczem i w żaden sposób nie dawałam się uciszyć. Lucynda spojrzała ze współczuciem na moją matkę i dotknęła mojego nosa.

— Moim darem jest posłuszeństwo — powiedziała. — Ella będzie zawsze posłuszna. A teraz przestań płakać, moje dziecko.

Przestałam.

Ojca jak zwykle nie było, bawił gdzieś w świecie na kolejnej wyprawie kupieckiej. Była za to nasza kucharka, Amanda. Obie z mamą bardzo się przeraziły, ale nie były w stanie przekonać Lucyndy, że jej dar to prawdziwe przekleństwo. Wyobrażam sobie tę scenę: Amanda cała w piegach, które pewno wylazły jej jeszcze bardziej niż zwykle, z kędzierzawymi włosami w nieładzie, z drugim podbródkiem trzęsącym się ze złości; mama cicha i skupiona, z brązowymi włosami jeszcze mokrymi od trudu rodzenia, z oczami, z których zniknął uśmiech.

Nie potrafię sobie wyobrazić wróżki Lucyndy. W ogóle nie wiem, jak wyglądała.

Nie cofnęła swej klątwy.

To, co się wtedy stało, po raz pierwszy dotarło do

mnie w moje piąte urodziny. Bardzo dobrze pamiętam ten dzień, może dlatego, że Amanda tak często go wspominała.

— Na twoje urodziny — mówiła — upiekłam ci wspaniały tort. Sześciowarstwowy.

Berta, наша służąca, uszyła mi sukienkę.

— Granatową jak niebo o północy, z białą szarfą. Byłaś mała, nawet jak na swój wiek, i wyglądałaś jak porcelanowa laleczka, z białą wstążką w czarnych włosach i z rumieńcami podniecenia na policzkach.

Na środku stołu stała waza pełna kwiatów, które zerwał nasz służący Natan.

Staliśmy wokół stołu. (Ojca i tym razem nie było). Byłam bardzo przejęta. Widziałam, jak Amanda piecze tort, jak Berta szyje dla mnie sukienkę i jak Natan zrywa kwiaty.

Amanda pokroiła tort. Kiedy wręczała mi moją porcję, powiedziała bezmyślnie:

— Jedz.

Pierwszy kęs był wyśmienity. Zjadłam z rozkoszą cały kawałek, a Amanda nałożyła mi drugi. Z tym miałam już pewne trudności. Kiedy skończyłam, nikt nie podał mi następnego, ale czułam, że muszę jeść dalej. Wbiłam widelec w cały tort.

— Ella, co ty robisz? — upomniała mnie mama.

— Mój prosiaczek — zaśmiała się Amanda. — To jej urodziny, proszę pani. Niech je, ile zechce.

I nałożyła mi jeszcze jeden kawałek.

Czułam mdłości i okropny strach. Dlaczego nie mogłam przestać jeść?

Przelykanie było prawdziwą męką. Każdy nowy kęs

przypominał ciężką bryłę kleistej masy, którą z trudem przepychałam językiem do gardła. Rozpłakałam się.

Matka pierwsza zrozumiała, w czym rzecz.

— Ella, przestań jeść — powiedziała zdecydowanym tonem.

Przestałam.

Spełniałam każde polecenie. Musiało być wyrażone bezpośrednio, w trybie rozkazującym, na przykład: „Założ szalik”, albo: „A teraz idź do łóżka”. Życzenie albo pytanie nie działało. Nie reagowałam na: „Chciałabym, żebyś założyła szalik”, albo: „Dlaczego jeszcze nie leżysz w łóżku?” Ale wobec rozkazu byłam bezsilna.

Gdyby ktoś kazał mi skakać na jednej nodze przez cały dzień, musiałabym to robić. A przecież skakanie na jednej nodze nie jest jeszcze takie najgorsze. Gdyby ktoś mi rozkazał, żebym odcięła sobie głowę, zrobiłabym to bez wahania.

Żyłam w stanie nieustającego zagrożenia.

Kiedy nieco podrosłam, nauczyłam się opóźniać spełnianie poleceń, ale każda chwila opóźnienia drogo mnie kosztowała. Z trudem łapałam oddech, miałam mdłości, kręciło mi się w głowie. Dłużej niż kilka minut nigdy nie wytrzymałam, a i to było prawdziwą męką.

Miałam swoją dobrą wróżkę, i mama poprosiła ją, żeby zdjęła ze mnie to zaklęcie. Ale dobra wróżka odpowiedziała, że tylko Lucynda może to zrobić. Dodała jednak, że kiedyś może uda mi się przełamać zaklęcie bez pomocy Lucyndy.

Nie miałam pojęcia, jak tego dokonać. Nie wiedziałam nawet, kto jest moją dobrą wróżką.

Nie byłam jednak wcale potulna. Przeciwnie, klątwa Lucyndy uczyniła ze mnie buntowniczkę. A może po prostu taka już się urodziłam?

Matka starała się unikać wydawania mi poleceń. Ojciec nie wiedział nic o zaklęciu, ale widywał mnie tak rzadko, że nie miał zbyt wielu okazji, by mi rozkazywać. Za to Amanda lubiła rządzić i wciąż wydawała mi jakieś polecenia. Nie były groźne i robiła to z dobrego serca, ale i tak wszystko się we mnie buntowało. „Ellu, ubierz się ciepło”, albo: „Przytrzymaj tę misę, kochaneńka, a ja wbiję do niej jajka”.

Więc trzymałam tę misę, ale laziłam z nią po całej kuchni, zmuszając Amandę do dreptania za mną. Nazywała mnie małą psotnicą i próbowała okiełznać innymi poleceniami, a ja wynajdywałam nowe sposoby, aby je jakoś obejść. Takie potyczki często długo trwały, a matka zaśmiewała się i podbechtywała każdą z nas.

W końcu robiłam jednak to, co mi Amanda kazała, albo ona sama zamieniała swoje polecenie na prośbę.

Czasami wydawała mi jakieś polecenie bez zastanowienia, a ja, wiedząc o tym, pytałam: „Czy muszę?”, żeby je przemyślała i wycofała.

Kiedy miałam osiem lat, przyjaźniłam się z Pamelą, córką jednej z naszych służących. Pewnego dnia kręciłyśmy się obie w kuchni, przyglądając się, jak Amanda robi marcepan. Kiedy kazała mi przynieść z piwnicy więcej migdałów, przyniosłam tylko dwa. Wtedy kazała mi pójść do piwnicy jeszcze raz, a ja to zrobiłam, ale i tym razem w taki sposób, żeby jej do końca nie zadowolić.

Porwałyśmy z kuchni trochę kandyzowanych owo-

ców i uciekłyśmy do ogrodu. Pamela zapytała mnie, dlaczego nigdy nie robię dokładnie tego, co mi każe Amanda.

— Za bardzo lubi rządzić — odpowiedziałam.

— Nie znoszę tego.

— Ja tam zawsze słucham się starszych — oświadczyła Pamela z wyższością.

— Bo nie musisz.

— Ależ muszę! Oberwałabym od ojca, gdybym nie posłuchała.

— Ze mną jest inaczej. Jestem pod działaniem zaklęcia.

Zabrzmiało to bardzo uroczyście i teraz ja poczułam się ważna. Zaklęcia nie były czymś pospolicym. Lucynda była jedyną wróżką, która ośmielała się rzucać je na ludzi.

— Jak Śpiąca Królowna?

— Może, ale ja nie muszę spać przez sto lat.

— Co to za zaklęcie?

Powiedziałam jej.

— I musisz być zawsze posłuszna? Zrobisz wszystko, co ci ktoś każe? Nawet ja?

Kiwnęłam głową.

— Mogę spróbować?

— Nie. — Tego nie przewidziałam, więc szybko zmieniłam temat. — Ścigamy się do bramy?

— Dobrze, ale rozkazuję ci przegrać.

— To ja się nie ścigam.

— Rozkazuję ci się ścigać i rozkazuję ci przegrać!

Pobiegłyśmy do bramy. Oczywiście Pamela była pierwsza.

Zrywałyśmy jagody. Musiałam oddawać Pameli najśłodsze, najbardziej dojrzałe. Bawiłyśmy się w księżniczkę i ogra. Musiałam być ogrem.

Po godzinie nie wytrzymałam i rąbnęłam ją w nos. Rozwrzeszczała się, ocierając krew.

Był to koniec naszej przyjaźni. Moja mama znalazła matce Pameli nową pracę z dala od Frell, miasta, w którym mieszkaliśmy.

Po ukaraniu mnie za użycie pięści mama wydała mi polecenie: mam nigdy nie mówić nikomu o tej kłątwie. Ale i tak nigdy bym już tego nie zrobiła. Dostałam nauczkę.

Kiedy miałam prawie piętnaście lat, przeiębiliśmy się razem z matką. Amanda przyrządziła nam swoją słynną leczniczą zupkę z marchewki, porów, selera i włosów z ogona jednorożca. Smakowała wyśmienicie, ale obie z mamą wzdrygałyśmy się na widok tych długich, żółtobiałych włosów, plątających się między jarzynami.

Ojca jak zwykle nie było, więc piłyśmy wywar, siedząc w łóżku mamy. Gdy przebywał w domu, zabraniał mi nawet wejść do sypialni. „Nie lubię — mówił — jak mi się płaczesz pod nogami”.

Wysiorbałam zupkę z tymi okropnymi włosami, bo Amanda mi kazała, ale przez cały czas robiłam złośliwe miny do talerza i do pleców Amandy, kiedy wychodziła.

— Poczekam, aż trochę ostygnie — powiedziała mama.

A kiedy Amanda wyszła, powyciągała z zupy wszystkie włosy i wrzuciła je do pustej wazy.

Następnego dnia czułam się już dobrze, ale mama o wiele gorzej. Była tak słaba, że nie mogła ani pić, ani jeść. Mówiła, że w gardle ma ostry nóż, a w głowie rozbrykanego barana. Przykładałam jej mokre ręczniki do czoła i opowiadałam bajki. Stare, dobrze wszystkim znane bajki o wrózkach i elfach, ale trochę je pozmieñałam, więc od czasu do czasu udawało mi się mamę rozśmieszyć. Tyle, że każdy śmiech kończył się okropnym kaszlem.

W końcu przyszła Amanda i kazała mi iść spać. Mama pocałowała mnie.

— Dobranoc. Kocham cię, moja najdroższa córko.

To były jej ostatnie słowa do mnie. Kiedy wychodziłam z sypialni, usłyszałam, jak mówi do Amandy:

— Nie jestem aż tak chora. Nie posyłaj po pana Petera.

Pan Peter to mój ojciec.

Następnego rana matka obudziła się, ale była nieprzytomna. Oczy miała szeroko otwarte i gawędziła z niewidzialnymi dworzanami, skubiąc nerwowo swój srebrny naszyjnik. Do mnie i do Amandy nie mówiła nic, jakby nas nie zauważała.

Natan, nasz służący, przyprowadził lekarza, który wyprosił mnie z pokoju mamy.

Korytarz był pusty. Doszłam do spiralnych schodów i zaczęłam schodzić w dół, wspominając, jak obie z mamą zjeżdżałyśmy po poręczy. Oczywiście nigdy tego nie robiłyśmy, kiedy ktoś był w pobliżu. „Musie-

my zachować godność”, szeptała wówczas mama, zstępując po schodach wyjątkowo dostojnym krokiem. A ja, uradowana, schodziłam za nią, naśladowując ją nieudacznie, bo byłam raczej niezdarą.

Kiedy jednak korytarz był pusty, uwielbiałyśmy z wrzaskiem zjeżdżać po poręczy. A potem wracałyśmy szybko na górę, by zjechać jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze...

Pchnęłam ciężkie frontowe drzwi i wysliznęłam się na dwór, w jasność słońca.

Do starego zamku było daleko, ale bardzo chciałam wypowiedzieć pewne życzenie, a wierzyłam, że życzenia tam wypowiedziane mogą się naprawdę spełnić.

Zamek został opuszczony przez ludzi, kiedy król Gerald był chłopcem. Otwierano go tylko na specjalne okazje, takie jak uroczyste bale czy śluby. Berta utrzymywała, że tam straszy, a Natan mówił, że pełno w nim myszy. Ogrody pozarastały, ale Berta twierdziła, że drzewa kandelabrowe są obdarzone magiczną mocą.

Poszłam prosto do zagajnika świecowych drzew. Były to niewielkie drzewka, specjalnie przycinane i obwiązywane, aby nadać im kształt lichtarzy.

Żeby życzenie się spełniło, trzeba coś przyrzec. Zamknęłam oczy i pomyślałam.

— Jeśli mama szybko wyzdrowieje, będę dobra, nie tylko posłuszna. Będę się starała nie być taką niezdarą i nie będę się wciąż droczyła z Amandą.

Nie prosiłam, żeby mama nie umierała, bo nie wierzyłam, że jej życie jest zagrożone.

ROZDZIAŁ 2

— ...pozostawiając pogrążonego w żalu małżonka i córkę. Musimy ich wesprzeć i pocieszyć — zakończył wreszcie wielki kanclerz Thomas po prawie godzinnej przemowie.

Część mowy dotyczyła matki. W każdym razie słowa „szlachetna Eleanora” padały często, ale osoba, do której się odnosiły — obowiązkowa matka, wzorowa obywatelka, wierna małżonka — bardziej przypominała wielkiego kanclerza niż moją matkę. Część przemowy poświęcona była umieraniu, ale najwięcej było o wierności wobec Kyrri i jej władców, króla Geralda, księcia Charmonta i całej rodziny królewskiej.

Ojciec odnalazł moją dłoń. Jego była wilgotna i gorąca. Wolałabym stać razem z Amandą i resztą służby.

Wyrwałam rękę z jego uścisku i odsunęłam się o krok. Natychmiast się przysunął i znowu złapał mnie za rękę.

Lśniaca, mahoniowa trumna ozdobiona była płaskorzeźbami wrózek i elfów. Ach, gdyby któraś z tych wrózek mogła ożyć, wyskoczyć z drewna i rzucić zaklęcie przywracające mamie życie! I drugie, dzięki któremu pozbyłabym się bliskiej obecności ojca. Może mogłaby to sprawić również moja dobra wróżka, ale nie miałam pojęcia, gdzie jej szukać.

Kiedy wielki kanclerz skończył, przyszła kolej na mnie. Miałam zamknąć trumnę, żeby można ją było opuścić do grobu. Ojciec położył mi dłonie na ramionach i popchnął do przodu.

Usta mamy były zaciśnięte i srogie, zupełnie inne od tych, które znałam. Twarz tak pusta, że aż straszna. Najgorsze jednak było skrzywienie wieka trumny i suchy trzask, kiedy opadło. I myśl o mamie zamkniętej w tym pudle.

Nie mogłam już powstrzymać łez, które przelykałam przez cały dzień. Stałam tam przed całym dworem, rycząc jak małe dziecko. Nie mogłam się opanować.

Ojciec przytulił mnie do piersi. Mogło się wydawać, że mnie w ten sposób pociesza, ale on starał się tylko zatkać mi nos, żeby tak nie ryczała. W końcu mnie puścił, szepcząc ostro:

— Wynoś się stąd. Wróć, gdy się uspokoisz.

Choć raz z chęcią go posłuchałam. Puściłam się biegiem, ale zaraz zaplątałam się w ciężką czarną suknię i upadłam. Zanim ktokolwiek zdołał mi pomóc, wstałam, czując nieznośne pieczenie w kolanie i dłoni.

Największym drzewem w zagajniku była wierzba płacząca. Przedarłam się przez nisko zwisające gałązki i padłam na ziemię, zanosząc się szlochem.

Wszyscy mówili o „utracie matki”, ale ja jej nie utraciłam. Ona odeszła i wiedziałam, że nigdzie jej nie odnajdę. W żadnym innym mieście, w żadnym innym kraju, w Krainie Elfów czy w Jaskiniach Gnomów.

Już nigdy nie będziemy ze sobą rozmawiać, już nigdy nie będziemy się razem śmiać. Albo pływać w rzece.

Albo ślizgać się po poręczy, czy przekomarzać z Bertą. Nigdy nie będziemy robić razem tysiąca rzeczy.

Wyplakałam się i usiadłam. Przód mojej sukni był okropnie zabrudzony. Amanda by powiedziała: „Robisz z siebie widowisko”.

Nie wiedziałam, ile upłynęło czasu. Musiałam wracać. Tak mi polecił ojciec, a to okropne zaklęcie nakazywało mi być posłuszną.

Wynurzyłam się spomiędzy gałęzi i ujrzałam księcia Charmonta, który odczytywał napis na jakimś grobowcu. Jeszcze nigdy nie znalazłam się tak blisko niego. Słyszał, jak płakałam?

Książę był tylko dwa lata ode mnie starszy, ale był o wiele wyższy, a stał zupełnie tak samo jak jego ojciec, na szeroko rozstawionych stopach, z rękami założonymi na plecach, jakby przyjmował defiladę poddanych z całego państwa. Był też podobny do swego ojca, choć jego rysom brakowało ostrości rysów króla Geralda. Obaj mieli pofalowane brązowe włosy i śniadą skórę. Nigdy nie znalazłam się tak blisko króla, by wiedzieć, czy on też ma tyle piegów na nosie, co było dość zaskakujące na tak ciemnej twarzy.

— Moja kuzynka — odezwał się książę, wskazując na płytę nagrobną. — Nigdy jej nie lubiłem. Ale bardzo lubiłem twoją matkę.

I ruszył w stronę jej grobu.

Czyżby oczekiwał, że pójde za nim? I czy miałam zachować odpowiedni dystans, podążając za jego królewiczowską wysokością?

Poszłam za nim, zachowując taką odległość, że między nami mógłby przejechać powóz. Zwolnił kro-

ku i trochę się do mnie przybliżył. Dostrzegłam, że on też płakał, choć trzymał się prosto i nie był tak ubabrany jak ja.

— Możesz do mnie mówić Char — powiedział nagle. — Wszyscy tak mnie nazywają.

Mogę?! Szliśmy dalej w milczeniu.

— Mój ojciec też do mnie mówi Char — dodał. Król!

— Dziękuję — wyjąkałam.

— Dziękuję, Char — poprawił mnie. — Twoja matka często mnie rozśmieszała. Raz, na jakiejś uczcie, kanclerz Thomas wygłaszał mowę. Mówił i mówił, a twoja matka puściła w obieg serwetkę. Kiedy dotarła do twojego ojca, natychmiast ją zmiął, ale zdążyłem rzucić na nią okiem. Skraj serwetki był tak pozaginany, że przypominał profil kanclerza, z otwartymi ustami i tym jego wystającym podbródkiem. Gdyby miał skórę niebieską jak ta serwetka, byłby to jego wierny portret. Nie mogłem wytrzymać i wyleciałem z sali jeszcze przed uczną, żeby się swobodnie wyśmiać.

Byliśmy już w połowie drogi. Zaczęło padać. Z od dali dostrzegłam tylko jedną postać, stojącą przy grobie matki. Ojciec.

— Dokąd wszyscy poszli? — zapytałam.

— Odeszli, zanim zacząłem cię szukać — odpowiedział Char. — Chciałaś, żeby na ciebie zaczekali?

Wyczułam nutę niepokoju w jego głosie, jakby to była jego wina, że ich nie zatrzymał.

— Nie, wcale nie chciałam, żeby ktokolwiek na mnie czekał — odpowiedziałam, mając na myśli również ojca.

— Wiem o tobie wszystko — oświadczył po chwili Char.

— Naprawdę? Skąd?

— Nasze kucharki spotykają się na targu. Wasza o tobie opowiada. — Spojrzał na mnie z ukosa. — A ty dużo wiesz o mnie?

— Nie. — Amanda nigdy mi o nim nie mówiła. — A co o mnie wiesz?

— Wiem, że potrafisz naśladować innych ludzi, tak jak pani Eleanora. Raz tak świetnie naśladowałaś waszego służącego, że zgłupiał i nie wiedział, kto właściwie jest służącym, ty czy on. Wymyślasz bajki, wszystko ci wylatuje z rąk i często potykasz się o różne rzeczy. Kiedyś stłukłaś cały serwis.

— Pośliznęłam się na lodzie!

— Na kostkach lodu, które przedtem sama rozsypałaś.

Roześmiał się. W jego uśmiechu nie było jednak drwiny, raczej szczerze rozbawienie i podziw.

— To był wypadek — zaprotestowałam, ale sama się uśmiechnęłam, choć po tym płaczu byłam jeszcze trochę roztrzęsiona.

Podeszliśmy do ojca, który się uklonił.

— Wasza książęca wysokość, dzięki za dotrzymanie towarzystwa mojej córce.

Char również się skłonił.

— Chodź, Eleanoro — powiedział ojciec.

Eleanoro. Nikt mnie jeszcze tak nie nazwał, choć tak brzmiało moje prawdziwe imię. Eleanorą była zawsze moja matka. I zawsze nią będzie.

— Ella. Jestem Ella — oświadczyłam.

— A więc niech będzie Ella. Jedziemy, Ellu.

Skłonił się jeszcze raz przed księciem i wspiał się po stopniach do powozu.

Musiałam z nim jechać. Char wyciągnął rękę, żeby mi pomóc wsiąść do powozu. Nie wiedziałam, czy chwycić tę rękę, czy pozwolić mu, by podtrzymał mnie za łokieć. Podźwignął mnie za przedramię, a ja musiałam oprzeć się drugą ręką o bok powozu, żeby odzyskać równowagę. Kiedy zatrasnął dzwiczki, podciągnęłam suknię i rozległ się głośny trzask rozdzieranej tkaniny. Ojciec skrzywił się. Spojrzałam przez okienko — Char znowu się śmiał. Obejrzałam rozdarcie. Miało z sześć cali. Nawet Berta nie zdoła tego zszyć tak, żeby nie było śladu.

Wcisnęłam się w kąt, jak najdalej od ojca. Patrzył przez okno.

— Piękna uroczystość. Przyszło całe Frell, w każdym razie wszyscy, którzy się liczą — powiedział, jakby pogrzeb matki był jakimś turniejem czy baleem.

— Wcale nie była piękna. Była okropna.

Bo niby jak pogrzeb matki mógłby być piękny?

— Książę okazał ci uprzejmość.

— Lubił mamę.

— Twoja matka była piękną kobietą. — W jego głosie zabrzmiał żal. — Bardzo mi przykro, że umarła.

Natan trzasnął z bicza i powóz ruszył.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy dojechaliśmy do dworu, ojciec kazał mi przebrać się szybko w coś czystego i zejść na dół, by witac gości, którzy przybywali złożyć nam wyrazy współczucia.

W moim pokoju panował błogi spokój. Wszystko było takie, jak przed śmiercią mamy. Ptaki wyhaftowane na narzucie łóżka wydawały się takie bezpieczne w swoim świecie wyszywanych krzyżykami liści. Mój pamiętnik leżał na komodzie. W koszyku spoczywały moje wierne przyjaciółki z dzieciństwa — Flora, lalka szmaciana, i Rozamunda, drewniana lalka w sukni z siedmioma falbankami.

Usiadłam na łóżku, walcząc z natarczywą koniecznością posłuchania ojca i zejścia na dół. Marzyłam o chwili wytchnienia w moim pokoju, chciałam poleżeć bez ruchu na łóżku w lekkim chłodnym powiewie wpadającym przez otwarte okno, ale po głowie kołatała mi tylko jedna myśl: muszę wykonać polecenie ojca i zejść na dół.

Kiedyś podsłuchałam, jak Berta mówiła do Amandy, że ojciec tylko z pozoru jest człowiekiem, bo wewnątrz ma mieszaninę popiołu, monet i mózgu.

Amanda zaprotestowała:

— Nieprawda, to człowiek z krwi i kości. Żadne

inne stworzenie, czy to wróżka, czy gnom, elf czy olbrzym, nie mogłoby być takim egoistą jak on.

Zdołałam opóźnić przebranie się o pełne trzy minuty. Pełne trzy minuty zażartej walki z zaklęciem, które zmuszało mnie do zrobienia tego, co mi ojciec kazał. Huczało mi w uszach, zdawało mi się, że podłoga się kołysze, że za chwilę zsunę się z łóżka. Ścisnęłam poduszkę tak mocno, że aż mnie ramiona rozboleły — jakby poduszka była kotwicą, chroniącą mnie przed bałwanami kolejnych poleceń.

Czułam, że za chwilę rozpadnę się na tysiąc kawałków. Wstałam i podeszłam do szafy. I natychmiast poczułam się znakomicie.

Chociaż podejrzewałam, że ojciec chciał, bym ubrała się w coś żałobnego, włożyłam suknię, którą mama lubiła najbardziej. Mówiła, że soczysta zieleń podkreśli barwę moich oczu. Ja zawsze uważałam, że wyglądam w niej jak konik polny — chudy, ze sterzącymi kolanami i łokciami konik polny z ludzką głową i włosami prostymi jak słoma. Ale przynajmniej nie była czarna. Mama nie znosiła czarnych strojów.

Sala była pełna ludzi w czarnych strojach. Ojciec natychmiast do mnie podszedł.

— Oto moja panna, młoda Eleanora — oznajmił głośno. Wprowadził mnie do środka, szepcząc: — W tej sukni wyglądasz jak zielsko. Powinnaś mieć na sobie coś żałobnego. Pomyślą, że nie masz krzty szacunku dla twojej...

Nagle zostałam zagarnięta od tyłu w pulchne ramiona w rękawach z szeleszczącego czarnego atlasu.

— Moje biedactwo, bardzo ci współczujemy. —

Głos był słodki i lepki jak syrop. — Ach, a oto i nasz drogi pan Peter, jakie to okropne, że spotykamy się w tak smutnych okolicznościach.

Jeszcze jeden bolesny uścisk i zostałam uwolniona.

Głos należał do wysokiej, otyłej kobiety o długich, pofalowanych włosach, ufarbowanych na miodowy kolor. Cerę miała białą i niezdrową, z plamami różu na policzkach. Obok niej stały jej dwie wierne kopie, tyle że mniejsze i bez tego różu. Młodszej brakowało też kaskady włosów; zamiast niej miała wątle kędziorki, które wyglądały, jakby je przylepiono do czaszki.

— Eleanoro, to jest pani baronowa Olga — rzekł ojciec, dotykając ramienia wysokiej kobiety.

Dygnęłam, trącając młodszą dziewczynkę.

— Przepraszam — wymamrotałam.

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się, tylko wlepiała we mnie oczy.

— A to są zapewne pani urocze córki? — zapytał ojciec.

— Tak, to moje najdroższe skarby. To jest Alda, a to Oliwia. Za kilka dni wyjadą do szkoły dla dobrze urodzonych panien.

Alda była ode mnie starsza o jakieś dwa lata.

— Poznanie ciebie to dla mnie prawdziwa przyjemność — wyrecytowała, uśmiechając się i pokazując wielkie przednie zęby.

Wyciągnęła do mnie rękę w taki sposób, jakby oczekiwała, że ją ucałuję albo złożę pokłon.

Wytrzeszczyłam oczy, nie wiedząc, co zrobić. Opuściła nieco rękę, ale wciąż się uśmiechała.

Oliwia była tą, którą potrąciłam.

— Miło mi cię poznać — powiedziała trochę za głośno.

Była w moim wieku i przez cały czas marszczyła czoło.

— Pocieszcie Eleanorę w jej żalu — odezwała się baronowa Olga. — Pragnę pomówić z panem Peterem.

Wzięła ojca pod rękę i odprowadziła na stronę.

— Jakże nam ciebie żal — zaczęła Alda. — Kiedy rozryczałaś się na pogrzebie, pomyślałam sobie, że musisz być bardzo nieszczęśliwa.

— Zielony nie jest kolorem żałobnym — oświadczyła Oliwia.

Alda rozejrzała się po sali.

— To piękna sala, prawie tak piękna jak pałac, w którym kiedyś zamieszkałam. Nasza mama, baronowa Olga, mówi, że twój ojciec jest bardzo bogaty. Mówi, że potrafi zarobić na wszystkim.

— Nawet na paznokciu — dopowiedziała Oliwia.

— Nasza mama, baronowa Olga, mówi, że twój ojciec był biedny, kiedy żenił się z twoją matką. Mama mówi, że pani Eleanora była bogata, kiedy wychodziła za mąż, ale twój ojciec uczynił ją jeszcze bogatszą.

— My też jesteśmy bogaci — wtrąciła Oliwia. — Mamy to szczęście, że jesteśmy bogaci.

— Możesz nam pokazać cały dom? — zapytała Alda.

Poszliśmy na górę, a Alda musiała wszędzie zajrzeć. Otworzyła szafę mamy w jej pokoju i zanim zdążyłam ją powstrzymać, przejechała dłońmi po sukniach. A kiedy wróciliśmy na dół, oznajmiła:

— Czterdzieści dwa okna i kominek w każdym pokoju. Te okna musiały kosztować cały kufer złotych krugersów.

— Chcesz się dowiedzieć, jak wygląda nasz dwór?
— zapytała Oliwia.

Mogły sobie mieszkać w dziupli, i tak mnie to nie obchodziło.

— Musisz nas kiedyś odwiedzić, to sama zobaczysz — powiedziała Alda, gdy milczałam.

Stałyśmy przy bufecie, na którym piętrzyły się stopy przysmaków, od całego pieczonego jelenia z rogami oplecionymi bluszczem po maślane ciasteczka, tak małe i cienkie, jak płatki śniegu. Bardzo byłam ciekawa, kiedy Amanda zdążyła to wszystko przygotować.

— Może byście coś zjadły?

— Ta... — zaczęła Oliwia, ale siostra szybko jej przerwała.

— Och, nie, dziękujemy. Nigdy nie jadamy na przyjęciach. Jesteśmy tak podniecone, że całkiem tracimy apetyt.

— Mój apetyt... — próbowała wtrącić Oliwia.

— W ogóle nie mamy apetytu. Mama bardzo się martwi. Ale to wszystko wygląda naprawdę wspaniale. — Alda przysunęła się do stołu. — Przepiórcze jajka są takim rzadkim przysmakiem. Dziesięć krugersów za sztukę. Oliwio, tu ich jest z pięćdziesiąt.

Więcej przepiórczych jajek niż okien.

— Bardzo lubię agrestową struclę — bąknęła Oliwia.

— Nie powinnyśmy — powiedziała Alda. — No, może troszeczkę.

Nawet olbrzym nie zdołałby pochłonąć połowy udźca jelenia, olbrzymiej góry ryżu i ośmiu z pięćdziesięciu przepiórczych jaj, i mieć jeszcze ochotę na deser. Alda zdołała.

Apetyt Oliwii okazał się jeszcze bardziej imponujący. Pochłaniała olbrzymie porcje agrestowej strucli, ciasta z rodzynekami, biszkoptu z kremem, śliwkowego puddingu, piernika z korzeniami i mnóstwo czekoladek, korzystając przy tym obficie z polewy rumowej, brzoskwiniowej i miętowej.

Podstawiały sobie talerze pod brodę, żeby widelce miały najkrótszą drogę do przebycia. Oliwia pracowała miarowo i niestrudzenie, natomiast Alda po każdym kęsie wykwintnie ocierała usta serwetką i natychmiast ponownie atakowała swą porcję widelcem z godną podziwu zachłannością.

Widok był odrażający. Spuściłam wzrok i spojrzałam w dół, na wełniany dywanik, który zwykle leżał pod krzesłem mamy. Dzisiaj przesunięto go bliżej stołu z jedzeniem. Nigdy mu się uważniej nie przyglądałam.

Myśliwi z psem ścigali dzika, który umykał ku krawędzi dywanika, obszytej czerwonymi frędzlami. Nagle coś się poruszyło. Wiatr zmierzwił trawę pod nogami dzika. Zamrugalam i ruch ustał. Spojrzałam ponownie i znowu wszystko zaczęło się poruszać.

Pies dopiero co zaszczekał. Poczulałam, jak mu się rozluźnia gardło. Jeden z myśliwych potknął się i poczułam skurcz w jego łydce. Dzik zachłysnął się głośno powietrzem i pędził, przerażony i rozwścieczony.

— Na co się tak gapisz? — zapytała Oliwia.

Właśnie skończyła jeść.

Wzdrygnęłam się. Czułam się tak, jakbym wróciła z polowania.

— Na nic. Tak sobie patrzyłam na ten dywan.

Spojrzałam jeszcze raz. Zwykły dywanik z wyszytą na nim zwykłą sceną myśliwską.

— Bo tak wytrzeszczałaś oczy.

— Zupełnie jak ogr — dodała Alda. — To było okropne. No, ale wyglądasz już normalniej.

Alda nigdy nie wyglądała normalnie. Wyglądała jak królik. Tłusty królik, z rodzaju tych, które Amanda tak lubiła zarzynać na potrawkę. A pusta twarz Oliwii przypominała obrany ziemniak.

— A ty chyba nigdy nie wytrzeszczasz oczu — powiedziałam.

— No pewnie. — Alda uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem.

— Bo są za małe, nie dałabyś rady.

Wciąż się uśmiechała, ale teraz był to uśmiech wymuszony, jakby wymalowany na jej twarzy.

— Wybaczam ci, moje dziecko. Nas, parów Kyrrii, stać na wyrozumiałość. Twoja biedna matka znana była z tego, że nie potrafiła wychowywać dzieci.

Moja matka była znana. Ten czas przeszły zmroził mi język.

— Dziewczynki! — Podeszła pani baronowa. — Musimy już iść.

Przycisnęła mnie do piersi i poczułam okropny zapach zepsutego mleka.

Wyszły. Ojciec był na zewnątrz, przy żelaznej bramie, żegnając resztę gości. Poszłam do kuchni, zoba-

czyć się z Amandą. Ustawiała właśnie stopy brudnych naczyń.

— Ci ludzie chyba nie jedli nic od tygodnia.

Nałożyłam fartuch i napełniłam zlew wodą.

— Nigdy nie próbowali twojego jedzenia.

Nikt nie potrafił tak gotować i piec jak Amanda. Mama i ja próbowałyśmy nieraz przyrządzić coś według jej przepisu. Robiłyśmy dokładnie to, co nam powiedziała, potrawa była wspaniała, ale nigdy nie smakowała tak jak wtedy, gdy przyrządziła ją Amanda.

Przypomniał mi się ten dywanik.

— Pamiętasz ten dywanik z myśliwymi i dzikiem, wiesz który? Coś dziwnego mi się przytrafiło, kiedy mu się przyglądałam.

— Ach, ten! Głupota! Nie powinnaś zwracać uwagi na stare dywaniki.

Odwróciła się i zaczęła mieszać zupę w garnku.

— Co masz na myśli?

— To tylko taki magiczny żarcik!

Zaczarowany dywanik!

— Skąd wiesz?

— Należał do pani. — Amanda zawsze nazywała mamę „panią”.

To nie była odpowiedź.

— Dała go jej moja dobra wróżka?

— To było dawno temu.

— Mama ci powiedziała, kto jest moją dobrą wróżką?

— Nie, nie powiedziała. Gdzie jest twój ojciec?

— Przy bramie, żegna gości. Ale może wiesz? Może wiesz, chociaż mama ci tego nie powiedziała?

- Co wiem?
- Kim jest moja dobra wróżka.
- Gdyby twoja matka chciała, żebyś to wiedziała, sama by ci powiedziała.
- Miała mi powiedzieć. Obiecała. Proszę cię, Amando, powiedz!
- Przecież ją znasz.
- Nie, nie znam. Kto to jest?
- To ja. Ja jestem twoją dobrą wróżką. Masz, spróbuj tej marchewkowej zupki. Będzie na obiad. Dobra?